Nr. 10. We Lwowie dnia 27. Listopada 1873. **Rok XI.**



NASZYCH.

Wychodzi trzy razy na miesiąc każdego 5, 15, 25 we Lwowie. — Kosztuje rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr. a wszystkie szkółki ludowe płacą tylko 4 złr. rocznie. **Adres:** Administracja „Opiekuna Dzieci" Lwów 39¾.

Matka i syn.

Powieść historyczna.

W niewielkim dworku, otoczonym z jednej strony sadem, a z drugiej dziedzińcem, wysadzonym dużemi lipami, na dawnej Czerwonej-Rusi, (dzisiejszej Galicji), mieszkała nie młoda już szlachcianka, Ewa Strzemska. Była ona wdową, i całą pociechę znajdowała w synu swoim Krzysztofie, którego serdecznie miłowała i wychowywała z wielkiem staraniem. Ale chociaż syn ten był jedynakiem, matka przecież, właśnie dla tego, że go tak bardzo kochała, nie pieściła go zbytecznie, lecz chowała w bojaźni Bożej, miłości ludzi i poszanowaniu starszych. Gdy bywało, jaki gość zawitał do skromnego domku pani Strzemskiej, a gość ten by też i najuboższy, sędziwego był wieku, Strzemska wymagała, by młody Krzysztof, wszelkie okazywał mu uszanowanie: *Pamiętaj*, mówiła nieraz synowi, *że należy czcić wiek podeszły i schylać głowę przed siwemi włosami.* Nie przepuszczała też najmniejszemu wykroczeniu młodego Krzysztofa, ale karciła go surowo, ilekroć dopuścił się jakiego przewinienia, pilnie bacząc, by biednemu krzywdy nie zrobił, a sędziwych zawsze szanował.

I Bóg błogosławił staraniom poczciwej kobiety, syn jej przy pomocy miejscowego proboszcza, który codzień poświęcał parę godzin na naukę Krzysztofa, rósł w cnotę i wiedzę, z wielką swej matki pociechą, i taką okazywał jej przychylność, taką otaczał miłością, tak jej ślepo był we wszystkiem posłuszny, iż lubo w owym czasie, posłuszne i kochające dzieci nie taką jak dziś były rzadkością, nie jedna przecież matka, patrząc na Krzysztofa, pozazdrościła jej w duszy takiego syna, który w młodociannym już wieku był jej pomocą w gospodarstwie, wyręczał w niektórych zajęciach, dopełniając święcie każdego polecenia. Smutno też było pani Strzemskiej, gdy przyszło oddać chłopca do szkoły, i z równą może tęsknotą co i Krzysztof, czekała chwil wolnych od nauki, by się nacieszyć swym jedynakiem.

Po skończonych naukach, matka przemyśliwała o umieszczeniu Krzysztofa na lat parę przy jakim dworze, aby nabrał koniecznego szlachcicowi poloru. Zasiadłszy tedy dnia jednego na dziedzińcu pod starą lipą, postawiła na stole spory

dzban miodu, dla nadchodzącego proboszcza, i tak się do niego i do syna odezwała.

— Krzysztofie, nie jesteś już dzieckiem, ale niechaj będzie Bogu chwała, doszedłeś już lat młodzieńczych, czas wiec pomyśleć o twojej przyszłości, powiedz mi wiec, jakie są twoje w tym względzie zamiary?

— Za łaską Boga, służyć krajowi i tobie matko, to całe moje życzenie odrzekł Krzysztof, innych nie mam zamiarów.

— Jużcić to obowiązkiem każdego syna, odparła z powagą matka, lubo serce jej słodko wznosiło się z rozczulenia, ale jak to najlepiej służyć krajowi i matce, oto właśnie chodzi. Księże proboszczu dobrodzieju, jakież twoje zdanie?

— Mnie się widzi, odpowiedział zagadniony proboszcz, że pan Krzysztof, jak każdy inny szlachcic, dosiedzie konia, przypasze szable, gdy tego zajdzie potrzeba, i wywiąże się względem kraju; matkę zaś najlepiej ucieszy, przyprowadzając w dom zacną synowę, i w zaciszy rodzinnej uprawiając niwę ojcowską.

— A mnie się zdaje, że to trochę za prędko myśleć o synowej; niech no Krzysztof pozna wprzód świat, niech się otrze pomiędzy ludźmi, to lepiej potem potrafi we własnym gospodarzyć domu.

— Nie ma co mówić, powtórzył proboszcz: jużci to młodemu nigdy nie zawadzi, gdy się trochę po świecie powłóczy, tylko sądziłem, że przykro może będzie znowu się z synem rozstawać.

— Nie idzie tu o mnie, nie chodzi o to co mi przykre lub miłe, lecz co będzie z pożytkiem Krzysztofa — odrzekła pani Ewa, spojrzawszy z miłością na syna, który powstawszy z uszanowaniem, pocałował ją w reke i zapytał:

— Jakież tedy twe zamiary matko?

— Oto pragnęłabym cię oddać na dwór jakiego pana, a jak tam lat parę posiedzisz, będzie pora pomyśleć o gospodarstwie, i sam zresztą przez ten czas lepiej będziesz wiedział do czego masz ochotę; może wola Boga powoła cię do stanu duchownego, (a widząc jakiś wyraz smutku i obawy na twarzy Krzysztofa, dodała zaraz:) Nie myślę ja wcale namawiać cię do tego stanu, jeśli nie masz po temu powołania, wspomniałam tylko o tem mimochodem; może też pójdziesz do Palestry, lub się zaciągniesz do wojska.

— Nie matko, odpowiedział Krzysztof, jeżeli się to nic nie sprzeciwia twej woli, pójdę za radą proboszcza, i gospodarować będę na kawałku ziemi, na którym ś. p. mój ojciec już gospodarował.

I dolewając miodu proboszczowi, rozmawiała to o tem, to o owem radząc i przemyślając, coby było z większą korzyścią Krzysztofa, aż stanęło na tem, że proboszcz napisze do swego stryja Infułata we Lwowie, prosząc go, by wyjednał umieszczenie Krzysztofa Strzemskiego na dworze kasztelana Winnickiego.

Skoro nadeszła odpowiedź od tegoż Infułata, donosząca że kasztelan chętnie przyjmie nowego dworzanina, matka postanowiła sama pojechać do kasztelana, by podziękować za jego łaskę, a przytem polecić mu osobiście młodego Krzysztofa. Zaczęto więc sposobić i przygotowywać strojne odzienie dla młodego Strzemskiego, by mógł się godnie pokazać na dworze pana kasztelana.

I zeszło znowu kilka tygodni na tych zajęciach; matka wyjmowała z kufrów dawno tam schowane suknie nieboszczyka męża, a przywołany krawiec z bliskiego miasteczka krajał, szył i nicował stare żupany i kontusze, aż w końcu przyniósł pani Strzemskiej dwa kompletne ubiory. Jeden skromny, składał się z kontusza fijałkowego i żupana takiejże barwy z pasem jedwabnym; drugi od wystąpienia, był koloru karmazynowego, z żupanem jasno-popielatym, i bogatym pasem słuckim, srebrem i złotem przetykanym, żółte buty z ostrogami i biała czapka z czaplem piórem dopełniała stroju, do którego znalazła się i bogata spinka, i szabla z rękojeścią turkusami wysadzaną. Trzeba też wiedzieć, że u dawnej naszej szlachty, choćby niezamożnej, były przecież w kufrach klejnoty, przechowywane starannie po pradziadach, które się nie marnowały jak dziś na niepotrzebne wydatki i zbytkowe zachcenia, ale w swoim czasie godnie były użyte. Dwa codzienne kubraki i kapota podróżna dopełniały zasobów p. Krzysztofa.

Gdy już wszystko było w pogotowiu do podróży, dnia jednego zaszła długa bryczka z płócienną budą, zaprzężona w trzy silne domorosłe konie, do której zniesiono różne przeróżne pudła, kufry i kuferki, starannie je umieszczając, jedne zawierały rzeczy Krzysztofa i matki, drugie napełnione były zapasami żywności.

Matka i syn, wysłuchawszy mszy świętej, na ich intencję odprawionej, wyspowiadawszy się i przyjąwszy Przynajświętszy Sakrament, pożegnawszy proboszcza i otrzymawszy błogosławieństwo na droge, ruszyli z domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Życie sen

(z lirenki Teofila Lenartowicza).

Oj dziecino kochana!
Jak różyczka rumiana.
Oj dziecino spij sobie,
Matka czuwa przy tobie.
Jeźli mucha z doliny
Do twej zbliży się skroni,
To ją liśćmi z kaliny
Twoja matka odgoni.
Jeźli słońca na niebie
Błyśnie jasność rażąca,
To ja stanę od słońca,
I cień rzucę na ciebie.
Moja droga pociecha,
Jak się przez sen uśmiecha,
Jak pod drobną powieką
Czarne oczki drzą lekko!
Co też ciebie obudzi?
Czy głos ptaków, czy ludzi?....

W cichym wiejskim kościółku
Grają wdzięcznie organy,
Czy je słyszysz aniołku,
Rozjaśniony, rumiany?....
Na ugorze człek orze,
Słychać ciągłe wołania....
Drogi Boże, mój Boże!
I mój przez sen pogania....
Błyskawice oblały
Ciemne kąty wieśniacze,
I obudził się mały,
Lecz spokojny, nie płacze.
Tylko oczki przeciera,
Co znieść światła nie mogą,
Tylko nóżką przebiera,
Jakby swoją szedł drogą.

Pójdziesz, pójdziesz mój drogi!
I nie będziesz się smucił,
Że ci zniknął sen błogi,
Żeś zkąd wyszedł, powrócił.
Nie użalisz się w górze
Na ubóstwo, niedolę,
Z wieczną ciszą na czole,
Znikniesz w jasnym lazurze.

POGADANKI NAUCZYCIELA Z DZIEĆMI.

O trzęsieniach ziemi i wybuchach wulkanicznych.

V.

Wyspa Islandja i jej wulkany.

(Ciąg dalszy.)

Z pięknej i rozkosznej Itılji — przenieśmy się teraz w daleką północ, gdzie leży smutna, nagiemi najeżona skałami, i wiecznym śniegiem pokryta wyspa Islandja. Ziemia ta, bliska sąsiadka bieguna północnego, owego miejsca wiecznych lodów obfituje w zionące ogniem i płomieniem wulkany, a nadto w ciągle buchające strumienie wrzącej wody. Wulkanów czynnych na wyspie Islandji jest jeszcze ośm, a kilkanaście wygasłych; gorących zaś źródeł, które tam w ogóle Gejzerami zowią, znajduje się kilkanaście. Z wulkanów najwyższe i najczynniejsze są: Hekla, Krabla i Orefa, ta ostatnia wznosi się przeszło 6000 stóp nad poziom morza. Wszystkie te wulkany połączone są jedną szczeliną podziemną, dlatego też gdy jeden wybucha, inne zachowują się spokojnie, jak gdyby jeden wyręczał drugiego. O wybuchach w Islandji mamy najdawniejsze wiadomości z 10. wieku, i te były nie częste, później jednak nie mijało dwadzieścia lat, aby nie było gwałtownego wybuchu. Najstraszniejszy wydarzył się w roku 1783, właśnie w tej samej chwili, kiedy owo okropne trzęsienie ziemi w Kalabrji tyle miast zniszczyło i 80.000 ludzi życia pozbawiło. Wypadek ten jest najjaśniejszym dowodem, iż we wnętrzu ziemi są nieprzerwane związki, jedne z drugimi złączone. Wulkany Islandzkie, tak jak w południowych krajach, wyrzucają rozpalone kamienie i wrzącą lawę, i tak samo z krateru wydobywa się kłąb dymu.

Zupełnie jednakże inaczej przedstawia się źródło gorące. Woda ta gorąca wytryskuje ze źródeł dosyć często i obficie, ale nie długo. Wysokość jej słupa bywa rozmaitą, dochodzi i do 70 łokci, a grubość ma 9 do 10 stóp. Odpoczynki po każdym wybuchu są dosyć długie, skoro dają czas widzowi zaspokoić ciekawość przez zbliżenie się do otworu i zajrzenie do wnętrza. Huk, podobny do strzału armatniego, zawsze poprzedza wytrysk wody, tą też przestrogą kierowani podróżni, na czas zdążają ujść z niebezpiecznego stanowiska. Równocześnie z hukiem, poczyna się trzęsienie ziemi, stopniowo słabnące. Z wodą wznosi się w górę mnóstwo kamieni, wielkich nieraz rozmiarów, szuter i błoto. Dokoła takiego źródła,

czyli gajzeru, układają się spadające kamienie w najrozmaitsze kształty, mchy zaś i inne rośliny, właściwe zimnym, podbiegunowym okolicom, porastając na takich pokładach, tworzą z nich najczarowniejsze obrazy.

Pewien podróżny ciekawością zdjęty, przybliżył się do źródła umyślnie w chwili huku, zwiastującego wybuch, i pozostał aż do zupełnego wytrysku wody gorącej. Uważał on, że słup wydobywającej się wody, od stopniowego wznoszenia się aż do najwyższego swego szczytu, zdaje się przybierać coraz to inne barwy — najczęściej zaś błękitną i zieloną. Stokroć jednak jeszcze piękniejszem przedstawia się cudne to zjawisko, skoro strumień oblewa słońce; nie sama już woda w uroczych swych barwach i kształtach nęci i przyciąga. Najświeższe i najżywsze barwy tęczy, migocąc się w spadających kroplach, tak przecudnej piękności tworzą widok, tak wymównie kołaczą do serca, że patrzący w poczuciu niewysławionej rozkoszy, zdumiony wielkością dzieła Bożego, korzy się i rozrzewnia.

Posiada zatem i ta odludna, skalista i zimna wyspa swe piękności, do których ubogi jej mieszkaniec tak jest przywiązany, iż za żadne skarby i najpowabniejsze nadzieje nie porzuciłby swej ukochanej ojczyzny. Mieszkańcy wyspy Islandji są pochodzenia Skandynawskiego, i są poddanymi królestwa Duńskiego. W dawnych czasach wyspa ta miała być cieplejszą i urodzajniejszą, dzisiaj tylko południowe jej kończyny są zamieszkałe i uprawne, rodzi się tam owies, trochę jęczmienia i ziemniaki. Główny dochód stanowi zbiór mchu, rosnącego po skałach, a używanego przez lekarzy europejskich do leczenia chorób piersiowych. Znaczne dochody przynosi także połów ryb morskich, szczególnie wielorybów, których się w okolicy Islandji najwięcej znajduje. Mieszkańcy wyspy są bardzo pracowici i uczciwi, niezmiernie przywiązani do swej ziemi rodzinnej, i wierni swemu królowi.

Miasto Schalholt jest stolicą wyspy i siedzibą biskupa. Wspomnienia godną jest rzeczą, iż każdy Islandczyk umie czytać i pisać, i z wielką ochotą zabiera się do książki, których im jakoteż zboża i innych potrzeb do życia towarzystwo handlowe duńskie rokrocznie dostarcza. (C. d. n.)

ŚLIZGAWKA.



Ślizgawka piękna zabawka i zdrowa,
Uczy zręczności i obdarza siłą,
Lecz wam opowiem, (choć to rzecz nie nowa),
Co raz z swawolnym Jasiem się zdarzyło,

Ojciec mu mówił: „Nie idź na sadzawkę,
Lud jeszcze słaby na twoją ślizgawkę“.
Ale Jaś ojca przestrogi niepomny,
Poszedł i po pas pod lody wpadł prawie.

Szczęściem, że stary sługa był przytomny,
Boby był zginął w sadzawce, czy w stawie,
On tylko malca od śmierci ratował,
Jednak za karę Jaś długo chorował.

Myśli i zdania.

— Nie dosyć jest przebaczyć temu, co cię chciał zgubić, — odpłać mu jeszcze dobrodziejstwem.

— Przyjaźń, najlepiej nawet ugruntowana, wzajemnem tylko pobłażaniem utrzymać się może.

— Postępuj dobrze, a nie będziesz potrzebował obawiać się nikogo; postępując źle, obawiaj się całego świata.

— Kto daje biednym, daje Bogu!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **A. Kisielewski.** Z drukarni K. Pillera.